

Ujrzeliśmy jego gwiazdę

Homilia Józefa Kard. Ratzingera
(6 stycznia 1999).

03-01-2000

Zeszłego listopada mogłem (z moimi współpracownikami) zwiedzić słynne papieskie obserwatorium astronomiczne w Castel Gandolfo. Widzieliśmy olbrzymie teleskopy, za pomocą których uczeni ojcowie - jeszcze do niedawna - usiłowali przebadać mapę nieba. Dzisiaj to wszystko stanowi jedynie muzeum; bynajmniej nie dlatego, że nie

funkcjonują już aparaty; nie, światła nad Rzymem i prawie nad całą Europą stały się tak rażące, że nie sposób zobaczyć jakichś gwiazd i niemożliwe jest jakiekolwiek badanie nieba z tego miejsca ziemi. Trzeba było więc udać się do odległego i niezamieszkałego zakątka w Ameryce, aby tam kontynuować badania. Światło człowiecze - nasze, przez nas zrobione światło - zakryło światła niebieskie. Nasze światła pozwalają oglądać tylko siebie samego, a zakrywają gwiazdy Boga. Ta właśnie sytuacja obrazuje nam to, że my - którzy wszystko chcemy sami robić - nie potrafimy już rozpoznawać stworzenia Bożego i śladów Boga.

A oto przychodzą ci ze Wschodu i powiadają o sobie: „Ujrzeliśmy Jego gwiazdę i przybyliśmy oddać Mu pokłon”. Cóż to byli za ludzie, coś to była za gwiazda?

W nowym przekładzie Pisma świętego słowo „magoi” (magowie) zostało przetłumaczone jako „interpretatorzy gwiazd”, tj. astrologowie. Z pewnością jednak ci mężowie nie byli ani magami, którzy chcieliby podporządkować sobie świat i Boga, ani astronomami w dzisiejszym naukowym znaczeniu, ani też astrologami, którzy mieliby wgląd w tajemnicę jutra i tę wiedzę chcieliby sprzedawać. To byli raczej ludzie, którzy szukali czegoś więcej; szukali właściwego światła wskazującego nam drogę, którą musimy iść w naszym życiu. To byli ludzie, którzy byli przekonani o tym, że Bóg zostawił w stworzeniu swą ręką pisane znaki, które my musimy i możemy starać się odczytać. To byli Ludzie, którzy wiedzieli, że otrzymaliśmy zadanie, aby - dla osiągnięcia prawdziwego życia - znaleźć ślady Boga i nimi się kierować. To nie byli więc ludzie szukający przygód, jak nowożytni

żeglarze objeżdżający naokoło świat, którzy chcieli zdobyć nowe wiadomości o ziemi, a sobie przy tym przysporzyć chwały; nie było w nich także tej ciekawości nauki, która posłałaby rakiety w najdalszy zakątek wszechświata, aby tylko wyrwać mu ostatnie tajemnice. Ich wzrok sięgał o wiele dalej: to byli ludzie, którzy szukali Boga, a przez to też siebie samych. Oni poszli śladami Abrahama, który usłyszawszy głos Boga, z Jego powodu stał się pielgrzymem; oni też byli ludźmi niespokojnego serca, którzy nie potrafili zadowolić się mapą i czysto naukową wiedzą, lecz szukali prawdziwej mądrości, która mówi, jak mamy żyć, jak być człowiekiem. *Być* może te cechy właściwe i szczególne owych tajemniczych ludzi możemy najlepiej zobaczyć, gdy przyjrzymy się dokładniej kontrastowi, na jaki natknęli się w Jerozolimie.

Na pierwszy plan wysuwa się tu **Herod**. Owszem, jest on zainteresowany tym Dzieckiem, ale nie dlatego – jak sam mówi – aby oddać Mu pokłon, ale aby Je pokonać. To człowiek władzy, który w drugim człowieku może odkryć jedynie konkurenta. A ostatecznie widzi konkurenta nawet w samym Bogu, ba, w Nim widzi konkurenta najgroźniejszego, takiego, który pragnie człowiekowi ograniczyć jego własną przestrzeń życiową i jego własną wolę i nie chce pozwolić mu, aby dysponował sobą bez ograniczeń. Dlatego Boga trzeba zlikwidować, a ludzie muszą zostać sprowadzeni do roli pionków w potyczkach o władzę. Łatwo wydawać wyrok na takiego brutalnego władcę, ale sądzę, że powinniśmy się zastanowić, czy w nas nie tkwi coś z Heroda. Czy i my nie uważamy Boga za konkurenta naszego życia, który ustawia nam słupy graniczne, aby przeszkadzały

robić, co się chce; konkurenta, który nam chce coś obciąć z dysponowania własnym życiem. I tak stajemy się wewnętrznie rozgniewani i przygnębieni, ho wpakowaliśmy się w rebelię przeciw podstawie wszystkich rzeczy. Wyjście z tego – pojednanie – możemy znaleźć dopiero wówczas, gdy nie tylko przestanie zajmować nas idea konkurencji, lecz gdy rozpoznamy, iż obecność wszechmogącej miłości nic nam nie zabiera, w niczym nam nie zagraża, a ofiarowuje przestrzeń, w której dopiero rzeczywiście można żyć.

Następnie występują mieszkańcy Jerozolimy. Nie trzeba ich zaraz potępiać! To byli ludzie jak my: znaleźli się wśród nich dobrzy i źli. Byli tak zajęci swoimi troskami, trudami i małymi radościami dnia codziennego, iż na więcej nie mieli ani czasu, ani siły. Podobnie też dzieje się z nami, jakże łatwo

wkręcamy się w kierat codzienności, w kierat pogoni za coraz więcej i coraz wyżej, a nie chcemy iść drogą do Boga.

W końcu pojawiają się też **uczeni** w **Piśmie**, teologowie, specjaliści od Pisma świętego, którzy wiedzą o nim wszystko, znają wszystkie możliwości interpretacji, potrafią z miejsca określić położenie wszystkich tekstów i rzeczywiście w dużej mierze mogli służyć szukającym prawdziwą pomocą. Ale – jak powiada Augustyn – dla innych są oni drogowskazem, pokazują drogę, a sami nie ruszają się z miejsca. Pismo święte stało się ostatecznie dla nich jedynie atlasem ich ciekawości albo zbiorem idei możliwych do opanowania, o których można dyskutować. Nie przyszło im jednak do głowy, że o tych ideach nie tylko się wie i dyskutuje, lecz takie winno się nimi żyć. I znów w tym kontekście musimy skierować

pytanie do nas samych: Czyż i nas nie kusi także, aby Pismo święte, wiarę Kościoła traktować bardziej jako przedmiot dyskusji niż jako drogę życia? Widząc różnicę między tymi, co wiedzieli, ale nie postępowali zgodnie z tą wiedzą, a tymi, co nie wiedzieli, ale – jako szukający – znaleźli drogę, winniśmy także i my rozpoznać, że Chrystus założył Kościół nie po to, aby rozprawić nad słowem Bożym, ale aby był miejscem, w którym tym słowem się żyje. Niech w naszych sercach na nowo zrodzi się gotowość do tego, abyśmy do słów Biblii nie podchodzili jedynie jako do jakiegoś przedmiotu – obok wielu innych – naszej ciekawości, lecz żebyśmy traktowali je jako prawdę, która powiada nam, kim jest człowiek i kim on naprawdę może być; jako prawdę, która jest drogą i dlatego żąda naszego życia; a tylko ten, kto wespół z nią żyje i idzie, odpowiada prawdzie.

Powróćmy do mędrców! Możemy sobie wyobrazić, że ci ludzie wystawieni byli na liczne drwiny. No bo tylko ze względu na jakąś wieść, że w Izraelu ma się narodzić boski król, tylko dlatego, że powstała jakaś konstelacja gwiezdna, wyruszają w daleką drogę; to dla prostodusznych ludzi jawi się tylko jako czysty absurd i dziecinada. Mędracy z pewnością zostali nie raz wyśmiani. Doświadczyli na sobie losu Abrahama, który powiedział o sobie, co z kolei powtarzali pierwsi chrześcijanie: „Pielgrzymami i obcymi jesteśmy na tym świecie” (por. *Hbr* 11, 13), a więc nie całkiem do niego należymy. Dla mędrców nie miało jednak większego znaczenia, co ludzie mówili o ich przedsięwzięciu, co sądziła opinia publiczna, która zmienia się przecież prawie z dnia na dzień. Dla nich ważną rzeczą było to, co jest prawdziwe i co daje rzeczywiste

życie; i dlatego chętnie wzięli na siebie wszystkie drwiny ludzkie.

I w tym miejscu są znów dla nas wyzwaniem – również dzisiaj. Właśnie dzisiaj staje się znów przygodą prawdziwe życie z wiary; przygodą jest traktowanie słów Kościoła nie jako jakiegś – przestarzałego na dodatek – teorii, jednej z wielu; przygodą jest odwaga bycia prawdziwym chrześcijaninem ze wszystkimi konsekwencjami wiary i działania. Również dzisiaj patrzą na takiego jak na jakieś kuriozalne stworzenie i nie szczędzą mu drwin i szyderstw; również dzisiaj – my, wierzący – jesteśmy w jakiś sposób pielgrzymami i cudzoziemcami. Ale właśnie tego potrzebujemy, aby wyrosnąć z przeciętności, aby „wstrzelić się” w prawdę, w prawdziwą wielkość człowieka, którą Bóg dla nas zaplanował. Ta wielkość wyraża się w tym, że będziemy podobni do

samego Boga, ponieważ Jego prawda i miłość będą naszym światłem i naszym życiem. Dlatego i dziś jest aktualne to, co przewija się przez całe Pismo święte: tutaj, na ziemi, nie mamy stałego miejsca, szukamy przeto przyszłego mieszkania. Jesteśmy wdzięczni za piękną *ojczyznę*, ale ona właśnie stała się piękna dzięki temu, że ludzie kierowali swój wzrok poza nią i wyposażyli ją w drogowskazy ukierunkowane na wieczność. I dalej pozostanie nasza ojczyzna piękną, jeżeli będziemy wciąż w drodze, a na nasze miasta i wioski rozpostrze się światło przyszłego świata.

W ten sposób doszliśmy już do drugiego pytania: Cóż to była za gwiazda, którą ujrzeli mędracy? Przez stulecia odbywały się na ten temat najróżniejsze dyskusje astronomiczne. Kepler sądził, że to była jakaś gwiazda „nowa” czy „supernowa”, to znaczy: jedna z tych

całkiem słabych gwiazd, w których potężna wewnętrzna eksplozja wywołała niesamowity błysk światła. Inni mówili, że była to kometa Halleya; inni znów przypuszczali, że mogło to być pozorne połączenie Jowisza i Saturna. Dyskusja o tym jest interesująca, ale nie prowadzi nas do istoty sprawy. Ci ludzie chcieli rozpoznać ślady Boga. Byli o tym przekonani, że niebo głosi chwałę Bożą, że Bóg może być dostrzeżony w stworzeniu; byli pewni, że nie ten, który szuka z pomocą choćby nie wiem jakiej lunety, ale ten, kto używa przede wszystkim lunety swego serca i swą pełną wiary tęsknotą wyrывa się w kierunku Boga, ten Go może znaleźć i potrafi się zbliżyć do Niego. Świat nie jest – jak chcą nam dziś wmówić liczne teorie – produktem przypadku i konieczności; ze świata wyziera coś więcej: rozum Stwórcy, nieskończona i niewyczerpana fantazja Boga, Jego miłość, z której przygotował dla nas ten świat. I

również dzisiaj nie dajmy się omamić różnymi teoriami, które mogą dojść tylko do pewnego punktu i – dobrze rozumiane – nie są w ogóle konkurencją dla wiary. Nie możemy sobie odmówić tego, aby nie oglądać piękna świata, jego tajemnicy, jego potęgi, jego rozumu, przez który przebija wieczny Rozum; nie możemy zrezygnować z tego, aby przez ten świat dać się wciąż od nowa prowadzić do Boga, Stwórcy nieba i ziemi. Tak postępując, dojdziemy też do wniosku, że Ten, który stworzył świat, i Ten, który narodził się w Betlejem, i Ten, który mieszka wśród nas w Eucharystii, jest jednym i tym samym Bogiem żywym, Tym, który nas powołuje i chce nas przygotować do życia wiecznego.

Tak więc w tych mędrkach stały się najpierw te słowa prawdziwe, które potem przez stulecia spełniały się coraz bardziej: Przyjdą ze Wschodu i

z Zachodu, z Północy i z Południa i usiądą do stołu razem z Abrahamem, Izaakiem i Jakubem (por. *Mt* 8, 11) . To oznacza nie tylko, że chrześcijanie – powołani przez Boga – przyjdą ze wszystkich stron świata; to znaczy także, iż ze wszystkich duchowych źródeł – z nauki, z religii – prowadzą drogowskazy do Boga. Znaczy to też, że w każdym ludzkim sercu wyciśnięta jest ta gwiazda, która na koniec ląduje w Betlejem i mówi: Tu jest Ten, na którego wszystko czeka w ciszy.

I oto ci mędrcy docierają teraz do Jerozolimy, ale nad tym wielkim miastem gwiazda gaśnie i nie jest już widoczna. Co to ma oznaczać? Jerozolima wówczas nie była z pewnością tak jaskrawo oświetlona jak dzisiejszy Rzym i światła miejskie nie mogły w żadnym wypadku przygasić światła gwiazd. Tutaj chodzi więc o coś innego i głębszego.

Owi mędracy założyli jako rzecz oczywistą, że nowy król narodzi się na dworze królewskim; naturalnie przyjęli z góry, że Tego, który jest mądrością i źródłem wszelkiego poznania, można znaleźć wśród uczonych. Ale teraz musieli stwierdzić, że w tym miejscu — owszem — znaleźli informację, ale nie samego nowo narodzonego. Musieli przyjąć do wiadomości, że Bóg jest całkiem inny, że nie ma Go w potędze tego świata, nie ma Go też tak po prostu w nauce, a nawet nie ma Go w teologii, ale pozwala się dotknąć. Musieli uświadomić sobie, że potęga — także potęga wiedzy — często raczej zamyka dostęp do Niego. Musieli więc przestawić swoje myślenie na inne tory, musieli się na nowo tego wszystkiego uczyć i musieli zmienić siebie samych. Musieli udać się do Betlejem, małego miasteczka, które przedtem było jednym z najmniejszych miast, ale teraz — po wsze czasy — już takie nie jest.

I także tam musieli jeszcze iść do przybyszów, do najbiedniejszych, aby znaleźć króla świata. Tak więc musieli poznać, że miara Boga jest całkiem inna, że On nie jawi się w potęgę tego świata, lecz dotyka nas w całkiem inny sposób: w pokorze *swojej* miłości, która może naszą wolność tylko prosić, aby Go przyjęła, a przez to prz}jęcie Bóg chce nas przemienić i uzdolnić do życia Nim.

Również nasza sytuacja jest taka jak tych mędrców. Jeżeli my mielibyśmy wymyślić, w jaki sposób Bóg powinien zbawić świat, to powiedzielibyśmy tak: najpierw musi z wielką mocą obalić wszystko, co jest, i z wielką precyzją naukową wprowadzić właściwą gospodarkę światową, aby każdy miał wszystko to, czego sobie zażyczy. Takie jest nasze myślenie. W rzeczywistości byłoby to pogwałcenie i jakieś wyobcowanie człowieka, ponieważ

właśnie obumrze w nim to, co jest jego najgłębszą istotą. No bo wówczas nie byłaby brana pod uwagę nasza wolność i nasza miłość. Dlatego potęga Boga musi się inaczej ukazać: w Betlejem, w pokornej niemocy Jego miłości. Tam idziemy, tam zatrzymała się gwiazda. Prośmy Pana, aby zechciał nas nieustannie obdarzać tym procesem przemieniającym, który w życiu nigdy nie ma końca. Prośmy, abyśmy wciąż na nowo dochodzili do tego innego Boga; abyśmy mieli odwagę wyjść z naszych wyobrażeń i marzeń, by szukać Go w pokorze wiary.

W ten sposób doszliśmy do drugiego aspektu wydarzenia w Jerozolimie. Chodzi o język stworzenia i znaki religijne, które prowadzą przez jakiś odcinek drogi, ale nie dają ostatecznej pewności. Na końcu rękodrcy potrzebują jednak głosu Pisma świętego. Dopiero ono potrafi

wskazać im ostatni fragment drogi.
To słowo Boże jest więc prawdziwą
gwiazdą; to słowo Boże jest tą wielką
„nową.” gwiazdą, w której ze słabości
ludzkiej mowy przebije nagle
nieskończona siła świetlna Bożej
prawdy i staje się dla nas
drogowskazem. Za tą „nową”
gwiazdą, za gwiazdą Bożego słowa,
chcemy właśnie iść. A więc jeśli
żyjemy tym słowem w Kościele Boga,
w którym owo słowo rozbiło swój
namiot, to wówczas idziemy drogą
właściwą, to wówczas znajdziemy tę
pewność, której nie mogą nam dać
wszystkie inne znaki.

Święto Objawienia — podobnie jak
Boże Narodzenie — w naszym kraju
złączone jest z pewnymi obyczajami.
Na drzwiach naszych domów
wypisujemy liczbę roku i litery C + M
+ B, co najpierw oznacza: „Chrystus
mansionem benedicat”, Chrystus
niech pobłogosławi ten dom. Prosimy
Go więc, aby z nami zamieszkał; aby

ten dom ochronił i bronił przeciw wszelkiemu złu, przeciw wszelkiemu niebezpieczeństwu i przeciw wszelkim zniszczeniom. Prosimy Go, aby ten dom otworzył szeroko w duchu prawdziwej miłości; aby uczynił zeń dom gościnny, w którym wszyscy jesteśmy sobie bliscy; w którym wszyscy czasowo mieszkamy jako pielgrzymi Wiekuistego.

Litery te (C + M + B) przypominają w dalszej kolejności również imiona owych mędrców: Kasper, Melchior, Baltazar, które zanotowano już — aczkolwiek trochę w innej formie — było nie było w pierwszej połowie drugiego wieku. Oznacza to, że i my chcemy się dołączyć do grona tych Mędrców ze Wschodu; że my — pośrodku naszych domów i z prawdziwą wdzięcznością za te cztery ściany, jakie mamy — chcemy jednak pozostać wędrowcami i pielgrzymami, którzy idą za gwiazdą. I jeżeli dobrze widzimy, możemy

powiedzieć: w ciągu stuleci Mędrcy ze Wschodu sami stali się gwiazdami, które nas prowadzą, które nam wskazują, gdzie jest Chrystus. Każdy święty ma coś z takiej „nowej gwiazdy”; nagle z jakiegoś pierwotnie niepokaźnego, nic liczącego się człowieka dzięki eksplozji światła — jak ze słowa Bożego zaczyna bić blask prawdy, wskazując nam zarazem drogę.

I oto ostatnie wyzwanie tego dnia: Pan chce, abyśmy sami stali się także gwiazdami; aby również w nas nastąpił ten przemieniający wybuch wiary, dzięki któremu uwolni się światło, jakie Bóg w nas umieścił; abyśmy przez to znaleźli drogę i sami stali się znakami drogowymi. O to chcemy prosić Pana w ten świąteczny dzień. Amen.

Objawienie Pańskie 1999

pdf | dokument generowany
automatycznie z [https://
dev.opusdei.org/pl-pl/article/ujrzelismy-
jego-gwiazde/](https://dev.opusdei.org/pl-pl/article/ujrzelismy-jego-gwiazde/) (09-08-2025)